

Oto słowo czarne

28 lutego 2015

Wyborczy list pasterski angielskich biskupów do chrześcijan czyta się jak polityczny manifest, ale to ważny głos w debacie o demokratycznych pryncypiach. Dlatego warto zwrócić na niego uwagę.

Kiedy biskupi zaczynają politykować, Polakom zapala się czerwona lampka. To zrozumiałe, bo w końcu Kościół wziął Polskę w jasyr. Konserwatywna, integrystyczna część polskiego Kościoła twardo trzyma pod butem od 1989 roku nasze życie publiczne. Było to możliwe przede wszystkim dlatego, że polscy hierarchowie kulturowo dobrze pasowali do postkomunistycznej świadomości dużej części Polaków, a zwłaszcza elit politycznych.

Ten toksyczny mechanizm polityczny był stosunkowo prosty. Gdy upadł PRL, jedyną sprawną, praktycznie nienaruszoną, ogólnonarodową instytucją był Kościół. Jego potęgą imponowała na tle słabego państwa, raczkujących partii, wykluwającego się społeczeństwa. Każdy polityk szukał więc w Kościele oparcia. I każdy polityk uważał, że Kościół w Polsce ma klucz do władzy, reform i moralności. Wykreowało to w III RP zwyczajowe prawo, które pozwala Kościołowi funkcjonować poza powszechnym systemem. Zwłaszcza w sprawach przyziemnych.

Księża nie płacili cła za sprowadzane auta, bez problemu zatrudniali na czarno, dochody Kościoła zwolniono z ewidencji, uprzywilejowano darowizny na cele religijne. W rezultacie przedsiębiorczy księża stworzyli wielką szarą strefę wybuchającą bezlikiem lokalnych afer i aferek. Przede wszystkim zaś ta praktyka stosowana przez partie od lewej do prawej strony potwierdziła i ugruntowała kościelną dominację symboliczną oraz sojusz aktów publicznych z kropidłem. Bo państwo polskie od początku trzeciej niepodległości pozwala Kościołowi praktycznie na wszystko. Na to, o co Kościół prosi,

i na to, o co nawet nie prosi. Zawsze znajdzie się jakiś „arcykatolicki” polityk, który chce być lepszy niż inni i do długiej listy kościelnych przywilejów coś jeszcze dorzuci. Dlatego też zarówno w badaniach opinii publicznej, jak i prywatnych rozmowach Polaków przewija się wyraźna niechęć do „mieszania się Kościoła w politykę”.

W Wielkiej Brytanii Kościół nie jest tak potężny i nie jest patologicznie wrośnięty w system polityczny i społeczny. Sacrum i profanum jest wyraźnie, na demokratyczną modłę, oddzielone. Pozwala to angielskim hierarchom na udział w debacie publicznej na normalnych zasadach, z których chętnie korzystają. I zazwyczaj z pozytywnym skutkiem.

POLITYCY W KOLORATKACH

Kościół, czy nam się to podoba, czy nie, jest pierwowzorem instytucji publicznej. I piszę to jako osoba „głęboko niewierząca”, ateista od urodzenia niemający żadnych sakramentów i ktoś, kto nigdy nie uczestniczył w mszy. Jednak fenomen instytucji publicznej polega m.in. na tym, że bezpośredni kontakt mają z nią często stosunkowo nieliczni, ale od jej funkcjonowania w istotnym stopniu zależy życie wszystkich. Nie tylko tych, którzy są wprost zaangażowani, ale też tych, którzy nie należą, nie udzielają się, nie płacą składek, nie używają, niby nie mają nic wspólnego, a jednak korzystają lub cierpią na skutek ich działalności. I tak jest z Kościołem.

Można wierzyć w Boga lub nie, chodzić na nabożeństwa lub nie, ale wszyscy żyjemy w środowisku, kulturze, więziach społecznych, wyobrażeniach czasu, systemie wartości od wieków kształtowanym przez księży, pastorów, rabinów czy mułłów. Można i należy sceptycznie podchodzić do tezy, że modlitwy zbawiają całą ludzkość, ale intelektualne skutki odwiecznych kontemplacji wpływają na życie nas wszystkich.

Władze religijne, zwłaszcza w zeświecczonej zachodniej

Europie, mają na co dzień mały wpływ na zachowania ludzi. Od doraźnych sugestii proboszczów w niewielkim stopniu zależą partyjne, życiowe i konsumpcyjne wybory wiernych, ale w dłuższym okresie to ich wizja świata jest wizją uznawaną przez ogół. Podobną funkcję mają uniwersytety. Nie jako miejsca zdobywania dyplomów i produkcji potrzebnych biznesowi projektów czy technologii, ale jako tygle idei, które promieniują na życie i myślenie wszystkich. Także tych, którzy nie widzieli żadnego profesora, a gdyby przypadkiem znaleźli się na wykładzie, nic by z niego nie zrozumieli.

I chociaż demokratycznemu państwu typowa zwłaszcza dla katolicyzmu sakralizacja szkodzi, podobnie jak absolutyzowanie wartości społecznych, instytucji i ludzi, bo jego największą siłą jest poddanie wszystkiego krytyce, kompromisom i zmianom, to jednak anglikanie z więzów manichejskich i gnostyckich wizji – dominujących w naszym kraju – uwolnili się już dawno. Kościół anglikański po reformacji i wyrosły na intelektualnej oraz teologicznej krytyce Rzymu odrzucił herezję gnostycką, która świat postrzega jako pole nieustannej bitwy między szatanem a Bogiem, Chrystusem a Antychrystem, Światłem a Ciemnością. To oderwanie się od gnozy pozwala dostrzec złożoność świata oraz problemów. A o tym, że angielscy biskupi świadomi są zagrożeń współczesności, najlepiej świadczy ich list pasterski do chrześcijan, namawiający do głosowania w majowych wyborach powszechnych, wbrew coraz bardziej powszechnej tendencji do cynizmu i politycznej apatii.

CZERWONO-CZARNI

52-stronicowa odezwa Kościoła spowodowała małe polityczne poruszenie na Wyspach. Premier David Cameron zareagował na list, mówiąc: – Zawsze popieram wszelkie interwencje polityczne, chciałbym widzieć w kraju szeroką debatę polityczną. Jednak wielu konserwatystów do przesłania odniosło się wrogo. Głównie dlatego, że biskupi oprócz wzywania do większej aktywności politycznej krytykują reformy polityki socjalnej, wyrażają poparcie dla umacniania struktur

europiejskich i kwestionują potrzebę posiadania przez Wielką Brytanią broni nuklearnej. Ale nie tylko.

W tym dokumencie można znaleźć także nawoływanie do większej otwartości w stosunku do emigrantów, lepszej polityki w sprawach ochrony środowiska, a także niezgody na postępujące nierówności społeczne, kasynowy kapitalizm, konsumeryzm i, co chyba najbardziej zezłościło prawą stronę na Wyspach – odrzucenie tradycji thatcherowskiej. Krótko mówiąc, list angielskich biskupów czyta się jak manifest partii socjalistycznej. Dlatego też torysi ostro go krytykują, zwracając uwagę na to, że współgra z postulatami Zielonych i Szkockiej Partii Narodowej, odbiegając w swoim „radykalizmie” od Labour. Ale nie do końca.

W końcu Kościół wraca do zarzuconej przez Camerona idei „Wielkiego Społeczeństwa” (Big Society) i postuluje jej reanimację. A także, co ważne, konkluduje, że tak jak nie ma powrotu do polityki Margaret Thatcher, tak samo nie ma powrotu do Clementa Attlee, laburzystowskiego premiera w latach 1946 – 1951, który stał na czele powojennej małej „rewolucji” socjalistycznej w Wielkiej Brytanii.

W praktyce pasterski list angielskich biskupów jest filozoficznym wywodem na temat współczesnej polityki, stanu gospodarki i społeczeństwa. Owszem, to odezwa bezprecedensowa, ale nie ulega wątpliwości, że dziś na Wyspach niezwykle potrzebna. Waga tego listu jest niepodważalna. Nie dlatego, że Kościół pod rządami arcybiskupa Justina Welby’ego wyostrza jakoś swoich interwencji w sprawy publiczne, ale dlatego, że brytyjska polityka przeżywa kryzys wiarygodności i potrzebuje wszelkiej pomocy od innych instytucji, w tym od Kościoła, aby odzyskać utracone zaufanie społeczne.

Rosnąca niechęć do establishmentu, polityczna apatia społeczna, brak poczucia wpływania na rzeczywistość coraz większej grupy wyborców, ogólna wrogość do partii są groźne dla demokracji. Bo przesuwają polityczny środek ciężkości na

rzecz lobbystów i wąskich grup interesu. Strefa publiczna, a zwłaszcza polityka, staje się areną działań pozbawianą publicznego poparcia i przede wszystkim kontroli. Angielscy biskupi mają tego świadomość i dlatego apelują o większą wyborczą aktywność. Chociażby za to należy im się pochwała.

Autorstwo: Radosław Zapałowski

Źródło: [eLondyn](#)